

Rozmowa z prof. dr. hab. Juliuszem Migasiewiczem – rektorem AWF we Wrocławiu w latach 2008-2016

Zostawiam uczelnię w dobrej kondycji

70 lat Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu. Ile z nich przypada na Juliusza Migasiewicza?

JULIUSZ MIGASIEWICZ: – Szmata czasu. Studia na AWF zacząłem w 1973 r., a więc z uczelnią jestem związany już 43 lata, czyli całe dorosłe życie. A jak wspominam początki? Kiedy człowiek jest bardzo młody i głupi, świat odbiera inaczej. Młodemu, zbuntowanemu sportowcowi, który przyjechał z Kalisza po technikum samochodowym wszystko wydawało się proste, oczywiste. Kolejne lata przebiegały, że tak naprawdę wiem niewiele, że muszę od początku uczyć się, uczyć i jeszcze raz uczyć. Oczywiście dalej trenowałem, bo przecież przyszedłem na AWF jako – tak mi się przynajmniej wydawało – świetny sportowiec, dokładnie chłopak rzucający dyskiem w Calisii, na dodatek wielki znawca przedmiotu moich zainteresowań, co miało stanowić gwarancję, iż będę wybitnym trenerem. Z każdym kolejnym rokiem nabierałem jednak (co oczywiste) pokory, musiałem przeorientować swoje oczekiwania, ponieważ już w połowie I roku uzmysłowiono mi, że przyszedłem na AWF przede wszystkim, by być nauczycielem, a nie trenerem (nim niejako przy okazji). Przeżyłem szok, który jednak szybko minął, rzeczywistość to na mnie wymusiła. Dobra rzeczywistość, bo uczelnia zarówno wówczas, jak i teraz – to się nie zmieniło – daje młodemu człowiekowi ogromny potencjał: nie tylko fachową wiedzę, ale też odważne postrzeganie świata. Staraliśmy się, by nasi absolwenci byli ludźmi asertywnymi, dającym sobie radę w życiu – niekoniecznie wykonując zawód związany z przedmiotem studiów.

A jakie zmiany nastąpiły od momentu rozpoczęcia przez Pana Profesora studiów do obecnych czasów?

– Zmieniło się niemal wszystko. Wówczas wiele działo się w gmachu przy Banacha, w którym znajduje się rektorat oraz w budynkach przy Witelona 25 i 25a oraz 10, gdzie mieściła się słynna anatomia, a stadion, który stał się nasz chyba w 1976 r. był miejscem nieco egzotycznym, na który się szło popatrzeć na mecz piłkarski czy żużlowy. Egzotyką było też wymykanie się w upalne noce z akademika – przez płot – na nieistniejące od wielu lat baseny olimpijskie. Teraz jest tam okazały kampus – największe nasze budynki, najnowocześniejsze laboratoria, a za chwilę (najpóźniej za ok. 3 lat) do budynku, w którym swego czasu mieścił się hotel „Olimpia” przeniesiemy rektorat. Gospodarka uczelni jest w bardzo dobrym stanie, zostawiam ją mojemu następcy w bardzo dobrej kondycji, co zresztą sam potwierdza. Chcemy wkrótce ruszyć także z rewitalizacją kempingu, a następnie całego stadionu. Zarówno ja, jak i mój zastępca rozmawialiśmy (i nadal rozmawiamy)



Prof. Juliusz Migasiewicz stał na czele wrocławskiej AWF przez osiem ostatnich lat

o tym przedsięwzięciu z władzami miasta, bez których pomocy owej rewitalizacji nie zrobimy. Wszak to ok. 70 hektarów terenów w głównej mierze zielonych, z których korzystają okoliczni – i nie tylko – mieszkańcy (rekreacja, spacer). Można z tego zrobić prawdziwą perelkę.

Przyszł Pan Profesor na uczelnię z zamiarem zostania dobrym trenerem, a nie nauczycielem. Tymczasem został Pan i jednym, i drugim.

– Łatwo nie było. Jak wspominałem, kończyłem

MKS Psie Pole. Już po dwóch latach pracy przysły pierwsze medale na Ogólnopolskiej Olimpiadzie Młodzieży, po kolejnych dwóch zostałem trenerem kadry narodowej juniorów w rzutach, zaś po następnych trzech trenerem kadry narodowej seniork w pchnięciu kulą. I w tej roli wytrwałem 10 lat.

Ale ostatecznie zwyciężyła nauka.

– W sport na wysokim poziomie trzeba wejść na całość, że tak się wyrażę – z kopytami. Lata 1985-1995 to ponad 200 dni w roku poza Wrocławiem – zgrupowania, zawody. Na dodatek w latach 1994-2004 pełniłem obowiązki prezesa klubu AZS AWF Wrocław. W tym czasie po raz pierwszy w historii wygrał ligę ze zdecydowanie dominującą na krajowej arenie Skrą Warszawa, były medale mistrzostw Europy (Donata Jancewicz w skoku wzwyż). Trochę z musu (tak to wtedy postrzegałem) w 1988 obroniłem doktorat, a dopiero gdzieś tak w 1993-4 zaczęły się poważne przymiarki do habilitacji. Trwało to kilka lat, udało się w 2000 roku, ale jak na standardy łączenia dydaktyki z trenerką to całkiem nieźle. A potem wszystko potoczyło się w ostrym tempie. W ostatnim roku rektorowania prof. Zagrobelnego zostałem przez niego wyjęty niczym królik z kapelusza. Zaproponował mi zostanie prorektorem – w trwającym konflikcie część zastępców zrezygnowała, z innymi rektor sam chciał się rozstać. Kiedy profesor Zagrobelny zobaczył, że sobie radzę, wyłączył się z roboty i poszedł na niewykorzystany urlop, a ja miałem być do odstrzału przez nową ekipę. Potem, mimo potężnej opozycji, prof. Koszczy-

cz uznał, że spisałem się dobrze na fotelu prorektora i nie zaważał się zaproponować mi przedłużenia pracy na tym stanowisku. I jakoś się to potoczyło.

Potoczyło się dobrze, skoro po pierwszym wyborze na stanowisko rektora, zaufano Panu Profesorowi po raz drugi.

– Najpierw jednak była profesura zwyczajna. A przecież, jak wspominałem, prezesałem też KS AZS AWF. Kiedy pytano mnie, jakim cudem udało mi się w dość krótkim przeciezie czasie to osiągnąć, odpowiadałem: trzeba tylko odpowiednio krócej spać. Mnie wystarczyły 3-4 godziny i to niestety mi zostało do dziś, bo nie potrafię położyć się do łóżka przed 3.30. A ponieważ w robocie muszę być ok. 9.00, wstać trzeba co najmniej godzinę wcześniej, ale nie czuję się pokrzywdzony. 4 godziny snu wystarczą mi zupełnie, zatem zostaje sporo czasu na inne zajęcia. Ot i cała tajemnica. Zaś co do drugiej kadencji, zostałem wybrany jeszcze większą liczbą głosów, co sprawiło mi dużą satysfakcję. Widocznie uznano, że spisywałem się na tym stanowisku nie najgorzej.

A co się nie udało?

– Nie ma chyba tego zbyt wiele (mam nadzieję, że nikt nie posądzi mnie o brak skromności). Może tylko pozyskać więcej pieniędzy, ale to zależało nie tylko od nas. Marzyła mi się też rewitalizacja stadionu lekkoatletycznego czy wybudowanie boiska zapasowego dla tej dyscypliny. Mimo dobrej współpracy z miastem, to sprawa, z którą od lat nie możemy się przebić pod właściwy adres. Było wiele rozmów, także na najwyższym szczeblu (prezydent Dutkie-

wicz), obiecywano poważne zajęcie się tą inwestycją, po czym wszystko się rozmywało. Zawsze było coś ważniejszego (Euro, ESK, NFM). Nie ma też hali z prawdziwego zdarzenia, co miastu o – uzasadnionych – aspiracjach do miana europejskiej metropolii chluby nie przynosi. Bo trudno za taką uznać „Orbitę”, to hala treningowa, co najwyżej przeznaczona do lokalnych rozgrywek. Wszystkich wspomnianych przedsięwzięć sama uczelnia nie jest w stanie zrealizować, zresztą nie ma takiej potrzeby.

Wrocławską AWF – o czym Pan Profesor już wcześniej wspominał – zostawia Pan następcy w dobrej kondycji.

– Chyba nawet bardzo dobrej. W rankingu awuefowskich uczelni uplasowaliśmy się na drugiej pozycji, a przez poprzednie 4 lata byliśmy nr. 1 w kraju, co świadczy o tym, że zgrana ekipa, której miałem zaszczyt przewodniczyć, wypełniała swoje obowiązki w sposób mocno satysfakcjonujący. Wrocławską AWF jest w wielu dziedzinach nowocześnie zarządzana, nawet jeśli porównujemy się z naszym kochanym Uniwersytetem to tam wiele rzeczy jest jeszcze jak za króla Cwieczka.

A propos Uniwersytetu, kończąc – podobnie, jak Pan Profesor – swoją drugą kadencję jego rektor prof. dr hab. Marek Bojarski otrzyma wkrótce tytuł doktora honoris causa... wrocławskiej AWF.

– Pan prof. Bojarski jest rektorem Uniwersytetu, a my jesteśmy uczelnią, która wyszła właśnie z „Uniwerku”. Zawsze szanowaliśmy nasze korzenie i to się z pewnością nie zmieni. Dochodzi do tego przeszłość sportowa rektora

Bojarskiego, ciężarowca, który na siłowni przy Witelona spędził kilkadziesiąt lat, oraz jego mocne związki ze współczesnym sportem, z ruchem olimpijskim (ściśle współpraca z Regionalną Radą Olimpijską). Z tego co wiem, profesor ma kilka doktoratów, ale żadnego krajowego, więc tym bardziej to dla nas powód do satysfakcji (mam nadzieję, że dla pana profesora również). Chciałbym jeszcze dodać (zapomniałem o tym wspomnieć wcześniej), że jesteśmy zupełnie inną uczelnią niż przed 8 laty – wtedy były 2 wydziały, 3 kierunki, obecnie 3 wydziały, ostatni z nich otrzymał właśnie prawa do doktoryzowania. To moje „dziecko”, czyli Wydział Nauk o Sporcie. Jestem z tego bardzo dumny. Mamy 8 kierunków powołanych, 7 funkcjonujących, ok. 5 tysięcy studentów – w tym roku to prawie 1600 nowych żaków.

Zapewne ucieszyły Pana, człowieka lekkoatletyki, bardzo udane występy naszych reprezentantów królowej sportu w mistrzostwach Europy w Amsterdamie, szczególnie najbliższych Pańskiemu sercu miotaczy.

– Na początku XXI wieku weszła do rodzimej lekkoatletyki nowa fala szkoleniowców, którzy zechcieli zrozumieć, o co chodzi w treningu rzutów. Zrozumienie pracy, ale prze-myślanie, nie wariackiej, odnajdywanie ludzi do treningu się nadających, a nie takich, którzy chcą trenować. Dlatego ten sukces nie był dla mnie wielką niespodzianką, choć wygrana w klasyfikacji medalowej taką niewątpliwie była. A mnie cieszy szczególnie fakt, iż aż 3 medale zdobyli lekkoatleci AZS AWF Wrocław.

WALDEMAR NIEDŹWIECKI